

Wojny informacyjne między Zachodem i Rosją, a świadomość Polaków

16 września 2016

O wojnie informacyjnej, manipulacji i cenzurze w naszych czasach.

W dobie wzmożonych batalii informacyjnych między Zachodem a Rosją, których głównym zarzewiem jest kwestia Ukrainy i związane z nią przyłączenie Krymu przez „Rosyjskiego Niedźwiedzia”, które w opinii publicznej Zachodu jawi się jako odnowa zapędów mocarstwowych wygłodniałej bestii, cennym kapitałem okazuje się ludność Europy Centralnej, która od wieków odgrywa rolę karty przetargowej na geopolitycznej „szachownicy”.

Zgodnie z literą prawa podmiot ubezwłasnowolniony (status, który w przekonaniu niektórych powinna posiadać ta część Europy) winien mieć swego opiekuna, który dbałby o jego „dobro” i „nieprzerwany rozwój”, który miałby służyć zarówno interesom strony będącej ubezwłasnowolnioną, jak i samemu podmiotowi sprawującemu ową opiekę.

W wyniku doznanych krzywd, które spotkały ludy byłego bloku wschodniego zubożającego pod wieloma względami przez zamordystyczny reżim sowiecki, ograbiając je z prawa do rozwoju własnej kultury, religii, nauki i sztuki, wywołało to wśród tamtejszej opinii publicznej trwałą traumę, która karze utożsamiać nam dziś antysowietyzm z antyrosyjskością, o czym informuje nas między innymi znany badacz Rosji z Uniwersytetu w Warszawie, a zarazem mój autorytet prof. Stanisław Bieleń.

Dzisiejsza Rosja, która choć nie pozostaje bez wad, to daleka jest jednak pod przewodnictwem demonizowanego wszechobecnie Władimira Putina vel „Wichrzyciela” od swego autorytarnego

poprzednika (czego dowodzi m.in. prof. Andrzej Walicki), z którym Zachód nie miał najmniejszych przeciwwskazań moralnych, aby zawierać ugody dla „dobra” świata, lecz nie do końca naszej części globu.

Dziś natomiast, gdy „wymogi czasów” znów stawiają naprzeciw siebie zimnowojennych rywali, to właśnie narody Europy Centralnej są najbardziej narażone na propagandę i w procesie „przeciągania liny” między dwoma rywalami opowiedzieć się muszą za którąś ze stron, gdzie pamięć doznanych krzywd i bestialstwo sowieckiego okupanta naturalnie pchają je, bez głębszej refleksji, w ramiona strony zachodniej, która jawi się jako ta, która jako jedyna może zapobiec powtórzeniu się tej tragicznej historii.

Doświadczają one wówczas syndromu myślenia grupowego, gdzie poszczególni jej członkowie, kierując się racją stanu własnego kraju i narodu, ulegają autocenzurze, która ma na względzie celowe zubożenie ich zdolności intelektualnych.

Jak głosi owa teoria z zakresu psychologii społecznej, owo „gromadomyślenie” w skrajnych swych przypadkach może prowadzić do zupełnej utraty przez grupę poczucia rzeczywistości, przeceniania własnej siły i możliwości działania.

Dzieje się tak w szczególności wtedy, gdy patriotyczne jednostki cenią ponad wszystko lojalność wobec własnej grupy i zależy im na minimalizacji potencjalnych konfliktów w jej łonie. Wówczas okazuje się, jak głosi owa teoria, iż niekoniecznie inteligencja grupy ma prymat nad inteligencją jej pojedynczych członków, i w sytuacji gdy decyzje rozmaitych organów administracji rządowej okazują się nietrafne i są motywowane prywatnymi animozjami względem danego zagadnienia, byłoby lepiej, gdyby były one podejmowane przez pojedyncze osoby. Władza bowiem ulega złudnemu przeświadczeniu co do swojej nieomyślności i wyższości intelektualnej nad zwykłymi „nieoświeconymi” obywatelami, gdzie złudzenie to jest tym silniejsze, im wyższy jest status społeczny, im wyższym

dyplomem mogą się legitymować jej autorytety.

Zjawisko to jest o wiele bardziej drastyczne w przypadku narodów postkolonialnych, jakim m.in. jest Polska, o czym nie tylko rozprawiają rodzimi publicyści jak Rafał Ziembkiewicz, ale i jest to przedmiotem badań naszych zachodnich przyjaciół, a w szczególności pani Ewy Thompson z Uniwersytetu Ricea w Teksasie.

Ta badaczka dowodzi w swym artykule z roku 2010, iż kategorie postkolonialne są niezwykle przydatne do wyjaśniania mentalności krajów okupowanych ongiś przez sowietów, w tym w szczególności Polski. Thompson uważa, że postkolonialna analiza Polski pozwoliłaby Polakom dokonać trzeźwej oceny obecnych wyzwań, które przed nami stoją. Mowa tu przede wszystkim o tych, które dotyczą się Europy.

W moim odczuciu zatem na szczególną uwagę rodzimego odbiorcy zasługują te oto fragmenty, które traktują o tym, jak polscy intelektualiści hołdują zastępczemu hegemonowi (intelektualnemu przywództwu Zachodu), co wiąże się zarazem z poczuciem niższości względem własnych idei i rozwiązań: „W polskiej rzeczywistości intelektualnej znajdujemy częste wzmianki o książkach i czasopismach publikowanych za granicą, a także wyraz szacunku wobec tych, którzy przeprowadzali za granicą swą działalność polityczną zorientowaną na Wschodnią Europę. Osoby te stały się autorytetami dla ludzi mieszkających w Polsce. Z tej powszechnej praktyki wyrósł pogląd, iż kraje zachodnie są wzorem do naśladowania pod każdym względem, że wyjeżdża się po to na Zachód, aby cieszyć się wolnością oraz dobrobytem, a także aby dowiedzieć się, jak interpretować historię i teraźniejszość... Choć w tamtych okolicznościach część owej czci była uzasadniona, na dłuższą metę scedowało to na cudzoziemców prawo do interpretowania świata i społeczeństwa, w tym i polskiego. Ta zmiana została ugruntowana na podstawie przekonania, że społeczeństwa zachodnie dysponowały nie tylko siłą militarną, ale także potencjałem intelektualnym, który zdominował świat i

reprezentował go w kategoriach wyrażanych przez myślicieli niemieckich, francuskich i angielskich. Niemniej jednak w przyjęcie prymatu intelektualnego Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych zostało wpisane poczucie «bycia gorszym» lub przynajmniej mniej rozwiniętym intelektualnie, której główną ofiarą padły polskie elity, co potwierdzało słuszność narracji hegemonia odnośnie prymatu metropolii nad jej peryferiami”.

Wartym jest tu również dodania fragment, w którym Thompson wskazuje na powszechną praktykę publikacji pisarzy zagranicznych w polskiej prasie, co posłuży mi w dalszej części do rozwinięcia tezy zawartej w tytule artykułu: „Owi komentatorzy wiedzą niewiele na temat polskiej historii i tradycji politycznej, i zazwyczaj nie znają języka polskiego, jednak są oni słuchani z wielką uwagą. Ich życiorysy zawierają odniesienia do międzynarodowych prestiżowych uczelni, wydawnictw oraz czasopism, a to wystarcza polskiemu odbiorcy traktować ich z największą powagą. Natomiast komentarze dostarczane przez rodzimych naukowców, którzy spędzili całe swoje życie zawodowe, studiując społeczeństwo, w którym żyją, są często traktowane z mniejszą estymą. Zagraniczni intelektualiści są świadomi tego faktu i z perfidią całkowicie go wykorzystują, aby teoretyzować na temat Polski i innych mniejszych lub słabszych państw Europy Środkowej i Wschodniej.”

Powyższe spostrzeżenia wydają się nieocenione w poddaniu ocenie wydanego w tym miesiącu raportu noszącego wymowny tytuł: „Wygrywając wojnę informacyjną: Techniki i strategie mające przeciwdziałać rosyjskiej propagandzie w Europie Środkowej i Wschodniej” (ang. „Winning the Information War: Techniques and Counter-strategies to Russian Propaganda in Central and Eastern Europe”), który przygotowało Centrum Analiz Polityki Europejskiej, będące think tankiem z siedzibą w Warszawie i Waszyngtonie.

Raport ten jest najnowszą publikacją z cyklu Information

Warfare Initiative, która prowadzona jest we współpracy z Legatum Institute będącym „międzynarodowym think tankiem i edukacyjną organizacją charytatywną koncentrującą się na promowaniu dobrobytu” (de facto powołaną z ramienia Legatum Limited, która jest prywatną firmą inwestycyjną z siedzibą w Dubaju), i analizuje wpływ rosyjskiej dezinformacji.

Jak czytamy na stronie promującej wspomnianą publikację: „W wyniku tego, iż rewizjonistyczne, autokratyczne państwa jak Rosja wystrzają stosowanie – oraz nadużywanie – dezinformacji, krajom liberalnej demokracji nie udaje się dotrzymać im kroku. Zastosowanie przez Kreml informacji jako broni nie jest czymś nowym, lecz jej wyrafinowanie i intensywność wzrasta. Poniewczasie, Zachód zaczął zdawać sobie sprawę, że dezinformacja stanowi poważne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych i ich europejskich sojuszników, a przede wszystkim „państw frontowych” – Polski, państw bałtyckich, Czech, Słowacji i Ukrainy – ale także dla Europy Zachodniej i Ameryki Północnej.”

Co więcej, zostały tam postawione kluczowe dla tez zawartych w dokumencie pytania, których treść brzmi następująco: „W jaki sposób rosyjskie zanieczyszczenie przestrzeni informacyjnej ukształtowało międzynarodowy dyskursu na temat sojuszy, organizacji, instytucji publicznych i mediów głównego nurtu? Co można zrobić, aby pozbyć się tych cyfrowych toksyny z naszego systemu demokratycznego?”

Z treści rekomendacji, która znajduje się na samym początku dokumentu, dowiadujemy się, że: „Rząd Rosji wykorzystuje dezinformację, podżeganie do przemocy i mowę nienawiści, aby zniszczyć zaufanie, podłamać morale, degradować przestrzeń informacyjną, zubażać publiczny dyskurs i zwiększyć stronniczość. Nasza zdolność do reagowania jest ograniczona przez wzgląd na utratę zasięgu i wpływu mediów głównego nurtu. Ich zdolność do obalania mitów i rewizji faktów dociera jedynie do niewielkiej grupy – i zapewne nie tej, której adresatem jest Kreml. Reakcja na te działania powinna być

sprzeczna: nasze podejście musi być dostosowane do różnych odbiorców, ale musi także dążyć do budowania zaufania między odmiennymi grupami.”

Jeśli już na tym etapie zaczynamy mieć wątpliwości co do intencji owego raportu, to w tym miejscu pragnę stwierdzić, iż odnoszę dziwne wrażenie, że to właśnie jest kwintesencją propagandy, która nie dość że demonizuje przeciwnika, posługując się teorią rzeczywistego konfliktu, to na dodatek wbrew ideałom tak bardzo cenionym przez państwa liberalnych demokracji godzi w naczelną zasadę pluralizmu.

To jednak nie koniec, gdyż w odrębnej części rekomendacji, będącej aneksem do właściwej publikacji, znajdujemy litanię metod, za pomocą których ma odbywać się zwalczanie odmiennych od reprezentowanych przez samych autorów i ich mocodawców poglądów, które podzielone zostały na: taktyczne, strategiczne oraz długoterminowe, a których wyszczególnienie pomnę (zainteresowanych zapraszam do osobistego zapoznania się z nimi w tym oto miejscu), zachowując miejsce na odniesienie się do tego, co w mym przeświadczeniu jest najważniejsze, a mianowicie części raportu traktującej o Polsce i platformie „Sputnik”, na której przyszło mi pisać o tej nowince.

Jak wynika ze spisu treści, Polsce zostały poświęcone strony od 30 do 33, zaś „Sputnikowi” (i zaznaczam, że nie bez powodu będę traktować również i o tym, gdyż jak się Państwo dowiedzie w dalszej części, łączy je wspólny mianownik) strony od 37 do 41.

Jak się dowiadujemy ze wspomnianej publikacji, według autorów raportu jesteśmy krajem, który „wydaje się odporny na rosyjskie ataki informacyjne”, gdyż panuje tu „silny konsensus międzypartyjny odnośnie zagrożenia, które stwarza rosyjski rewanżyzm, którego świadoma jest również większa część mediów w Polsce. Opinia publiczna oraz ta wyznawana przez elity kraju jest również silnie pronatowska, prounijna oraz proatlantycka z natury”. Widzimy tu jednak wyraz trwogi, wyrażanej przez

Wiktora Ostrowskiego oraz Kazimierza Wóycickiego z Akademii Europejskiej-Krzyżowej (będącej, jak czytamy na stronie organizacji, symbolem pojednania między Polakami i Niemcami), iż pomimo tego „rosyjska propaganda odnosi jakiś sukces”.

Jej celem, jak dalej czytamy, jest „społeczna dezintegracja”, którą czyni za pomocą znanej już od czasów rzymskich metody „dziel i rządź”, i „ostatecznie dąży do podważenia wiary w demokrację, wzrostu ksenofobii i tego, aby przekonać Polaków do tego, że nie są równi zachodnim Europejczykom”. Ponadto „dąży ona, paradoksalnie, do promowania ekstremalnego polskiego nacjonalizmu (nawet tego antyrosyjskiego), aby Polska wydawała się nierzetelnym i «rozhisteryzowanym» partnerem dla swoich zachodnich sojuszników”.

Owa propaganda, jak dalej dowodzą analitycy, „skierowana jest przede wszystkim do odbiorców marginalnych (zarówno ze skrajnej lewicy, jak i skrajnej prawy) w Polsce, choć ma nadzieję na wykorzystanie ich, aby wpłynąć również na media głównego nurtu. Poprzez skupienie się na antyzachodniej, nacjonalistycznej i antyukraińskiej propagandzie, rosyjskie kampanie informacyjne mają nadzieję ośmielić organizacje polityczne znajdujące się już na marginesie polskiej sceny politycznej i zasiać wątpliwość w zastałym politycznym porządku. Często działają one w parze z polskimi politykami obozu prawicy i skrajnej prawicy, którzy mogą, lecz nie muszą, być świadomi tego, iż ich działania pomagają Kremlowi”.

Pośród grup najbardziej narażonych na manipulacje propagandy rosyjskiej znajdujemy osoby, które mają skłonność do powątpiewania w instytucje demokracji, gdzie zdaje się Winston Churchill (jak i ci, którzy podzielają jego filozofię polityczną) również znalazłby się na czarnej liście szafarzy środkowoeuropejskiego sumienia ze swym przekonaniem, iż „najlepszym argumentem przeciwko demokracji jest pięciominutowa rozmowa z przeciętnym wyborcą”. Co więcej, do grona niewygodnych odbiorców należą również i ci, którzy są „skłonni wierzyć, że świat jest napędzany przez: wielkie

korporacje, amerykański imperializm, elitę polityczną, światową sieć żydowskich koneksji, mafie, Watykan itd. Są więc oni głodni wiedzy tego, co „tak naprawdę się dzieje”.

Na marginesie pragnę zauważyć, że to właśnie takie osoby mogłyby stanąć ramie w ramie z tymi, którzy brali udział w strajkach na Wall Street, którzy odczuli na własnej skórze cienie funkcjonowania niekwestionowanej „piramidy systemu kapitalistycznego”, serwowanej im przez tamtejszych spekulantów giełdowych oraz bankierów. Nawiązanie zaś do wspólnoty żydowskiej jest tu jedynie zabiegiem zastraszającym i wpisaniem z premedytacją, aby ewentualnie móc posłużyć się zarzutem antysemityzmu, który tak często jest kierowany pod adresem członków narodu będącego bezapelacyjnie uznanym za Najsprawiedliwszy wśród Narodów Świata.

Zarzut odnośnie Stolicy Apostolskiej, w kontekście niedawnych Światowych Dni Młodzieży w Polsce i ogólnym poszanowaniu religii chrześcijańskiej, związanej również silnie z osobą papieża Jana Pawła II, jest niedorzeczny oraz absurdalny.

Jak się okazuje, pansławizm, monarchizm, który jest ostoją brytyjskiej kultury narodowej, czy też fakty historyczne związane z postanowieniami podjętymi przez naszych zachodnich sąsiadów względem Polski na konferencji w Jałcie, podczas której oddano dawne tereny należące do Polski dzisiejszemu ich „nemesi”, któremu poświęcają obecnie tak obszerne wywody w postaci rzeczzonego raportu, są jego autorom również nie na rękę. Upatrują oni bowiem w osobach, które mają czelność o nich rozprawiać, paranoików kierujących się „teoriami spiskowymi”, które wyświadczały przysługę trollom, przez co utrudniają ich zdemaskowanie.

Bezczelnym też jest fakt, że kompletnie odbiera się Polakom prawo wolnego wyboru oraz swobody prowadzenia debaty publicznej na temat możliwości przyjaznych stosunków z Rosją, gdyż akt taki, pod wpływem wymuszenia i szantażu, poczytywany jest za automatyczną zdradę Zachodu. Jakakolwiek krytyka,

choćby nawet słuszna, jest odbierana jako działanie na rzecz Rosji, która jawi się jako śmiertelny wróg Zachodu. Toteż w imię idei o peryferyjnym poddaństwie, jako naród, musimy oddać niekwestionowaną cześć tym, którzy wiedzą lepiej, jak mamy myśleć, czuć, a już na pewno jak i z kim powinniśmy utrzymywać zdrowe stosunki.

Portalowi Konserwatyzm.pl, na którym mam okazję również publikować, i który jest medium skupiającym silne grono polskich naukowców akademickich reprezentujących różne odmiany konserwatyzmu (choć sam portal przedstawia się jako reprezentant narodowego konserwatyzmu, będącego przedmiotem badań naukowych na wspólnie z narodowym liberalizmem i innymi doktrynami politycznymi wykładanymi na kierunkach prawa, polityki, administracji, polityki społecznej etc. w całej Polsce i świecie, których analizę można znaleźć w podręcznikach akademickich), zarzuca się publikowanie prac odwołujących się do analizy myśli politycznej Romana Dmowskiego, którego autorzy raportu (chcący uczyć nas rzetelnego oraz obiektywnego dziennikarstwa) nazywają „przedwojennym narodowym konserwatystą, będącym bohaterem dla wielu utożsamiających się z polską prawicą”, a zdają się omieszkąć wspomnieć, że ta właśnie osoba pełniła funkcję ministra spraw zagranicznych naszego kraju, co bez najmniejszego wahania predestynuje go do poświęcania jego myśli bliższej uwagi, jeśli chodzi o rozważania nad polityką zagraniczną Polski.

Portalowi zarzuca się również „komunistyczną nostalgię, antysemityzm, ultrakatolicyzm oraz inne antydemokratyczne ideologie”, gdzie biorąc choćby moją skromną osobę za przykład i fakt bycia stałym publicystą oraz współpracownikiem tegoż portalu, to ma się to zupełnie nijak do przypinanych mu łatek.

Promowana neutralność w ewentualnych sporach między Zachodem a Rosją (co z logicznego punktu widzenia wyklucza stronnictwo), poddawanie akademickiej analizie zasadności i formy członkostwa Polski w Unii Europejskiej oraz NATO jest również

niemile widziane. W myśl tej idei nie można samodzielnie myśleć i poddawać pod wątpliwość tego, co mówią nam inni, co dla mnie jako absolwenta Uniwersytetu w Łodzi, którego pierwszym rektorem był sławny polski filozof, logik i etyk, twórca etyki niezależnej, przedstawiciel szkoły lwowsko-warszawskiej profesor Tadeusz Marian Kotarbiński, jest nie do przyjęcia, gdyż to właśnie on nauczał, iż „trzeba podważać wszystko, co się da podważyć, gdyż tylko w ten sposób można wykryć to, czego podważyć się nie da”. Misją zaś tejże uczelni, która została wpojona jej absolwentom, jest twierdzenie, że to właśnie „rozum jest duszą wolności”, które ukuł nie kto inny jak Gottfried Wilhelm Leibniz, będący niemieckim polihistorem: filozofem, matematykiem, prawnikiem, inżynierem-mechanikiem, fizykiem, historykiem oraz dyplomatą.

Nielogicznym są też w moim przeświadczeniu postawione publikacjom jednego z moich „kolegów redakcyjnych”, panu Konradowi Rękasowi (wymienionemu z imienia i nazwiska), zarzuty powielania schematów kremlowskich, jednocześnie zaznaczając, iż praca została napisana z polskiej nacjonalistycznej perspektywy.

Przykład pana Rękasa nie jest jednak odosobniony przypadkiem, gdyż krytyka została wymierzona również w inne osoby, gdzie kuriozalnym wręcz jest wzmianka o panu Marku Błaszczowskim z Salonu24, któremu oberwało się za przypisane mu przez autorów raportu te oto słowa: „Polska racja stanu polega na pilnowaniu własnych interesów, a nie wspieraniu stron walczących ze sobą, przesuwaniu linii frontu w stronę Rosji czy wspieraniu ludobójstwa”. Co jest więc w tym oświadczeniu tak rażącego, co sprawiło, że i ten autor znalazł się na „czarnej liście” raportu? To, że nawołuje on do nieagresji? To, że nie wspiera on ludobójstwa? Czy może wreszcie to, że opowiada się on za pozostawianiem stroną neutralną w antagonizmach zachodnio-rosyjskich? Czy ofiara krwi jest jedyną formą deklaracji „przyjaźni”, jaką uznają nasi zachodni i pracujący dla nich polscy cenzorzy? Nie mnie tu wyciągać wnioski, lecz tonacja

owych zarzutów wskazuje na to, że chyba tak.

Choć „Gazecie Polskiej” i tygodnikowi „Do Rzeczy” również się oberwało, to na szczególną uwagę zasługuje krytyka skierowana pod adresem nie czego innego, jak portalu „Sputnik”.

Złośliwi mogliby rzec (i wiem, że na pewno tak uczynią), że głównym podjęciem przeze mnie tego tematu jest fakt bycia „użytecznym idiotą Kremla” lub „putinowskim trollem” (jak zapewne poczytują autorzy obszernej publikacji noszącej znamiona instruktażu sumienia Wschodnich i Centralnych Europejczyków), to jak wspomniałem wcześniej, w kontekście „Sputnika” i Polski występuje wspólny mianownik, a jest nim osoba pana Janusza Korwina-Mikkego, którego postać zdecydowanie zdominowała analizę przypadku owego portalu. Można wręcz odnieść wrażenie, że w mniemaniu autorów publikacji odgrywa on główną rolę w „propagandzie” „Sputnika”, a to za sprawą swych kontrowersyjnych poglądów, które dźwięcznie cytowane są przez ten nośnik mediów, a z którymi nie trzeba się zgadzać, aby wiedzieć, iż tak, jak w reszcie wymienionych przeze mnie przypadków, i jemu przysługuje konstytucyjnie zagwarantowane prawo (Art. 54 jeszcze obowiązującej Konstytucji RP) do tego, aby móc „swobodnie wyrażać swoje poglądy”, zaś tym którzy uznają, że są one tak jak i inne wartościowym elementem pluralistycznej debaty publicznej w wolnej, pragnę zaznaczyć, jeszcze Polsce, do ich „pozyskiwania i rozpowszechniania”.

Warto tutaj dodać, bo i tego wymaga rzetelne dziennikarstwo, że osobą bezpośrednio zaangażowaną w owy projekt jest Edward Lucas z gazety „The Economist”, który często zabiera głos w sprawach Europy Środkowo-Wschodniej, jak i Rosji, pojawiając się w składach różnych paneli dyskusyjnych, gdzie dzieli się on swoją wiedzą i radami.

Działo się tak m.in. w przypadku debaty zorganizowanej przez oddział studiów polskich na Uniwersytecie w Cambridge, gdzie spierał się on z Peterem Hitchenssem (z którym miałem

przyjemność przeprowadzić m.in. w tej kwestii wywiad), jak również panelu zorganizowanego przez Westminster Russia Forum na temat Ukrainy, w którym debatował on z młodszym Hitchenssem oraz profesorem Richardem Sakwą, którego zdanie na temat naszego regionu stoi w zupełnej opozycji do tego, które reprezentuje redaktor wspomnianego brytyjskiego tygodnika finansowego skierowanego do globalnych kręgów biznesowych i politycznych, a o czym możecie się Państwo osobiście przekonać, zapoznając się z naszą rozmową.

Należy w tym miejscu zaznaczyć, że recenzowany przeze mnie raport (który został wydany w tym miesiącu pod przewodnictwem Lucasa, a który jest poświęcony szeroko pojmowanej walce z „propagandą rosyjską”), zdaje się kontynuacją debat poświęconych tejże tematyce podczas warszawskiego Forum Ekspertów („Warsaw Summit Experts”) poprzedzającego szczyt NATO, a którego dziennikarz The Economist był członkiem wraz z Johnem Lenczowskim, który jest założycielem i prezesem Instytutu Polityki Światowej (ang. The Institute of World Politics), będącego niezależną wyższą szkołą dyplomacji i bezpieczeństwa narodowego w Waszyngtonie.

Obecność obydwu, a w szczególności Lenczowskiego, który od 1983 do 1987 roku był dyrektorem ds. europejskich i sowieckich w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego (ang. National Security Council) (będącego głównym doradcą prezydenta Ronalda Reagana do spraw sowieckich, który brał udział w tworzeniu strategii politycznych mających na celu przyspieszenie upadku imperium sowieckiego), powinno dawać wiele do myślenia, że na poważnie zaczyna się myśleć o odgrzewaniu zimnowojennych sentymentów zmierzających nieuchronnie do dalszej eskalacji konfliktu między Rosją a Zachodem, chcąc tym samym, aby Polska odegrała w nim czynny udział. Potwierdzeniem tego może być choćby ubiegłomiesięczna wizyta szefa MON Antoniego Macierewicza w Waszyngtonie, gdzie brał on udział w spotkaniu zorganizowanym przez wspomniany instytut.

Co więcej, osobą, która również przysłużyła się do powstania

opisywanego w tekście dokumentu traktującego o tym, jak powinno wyglądać rzetelne dziennikarstwo pozbawione stronniczości, jest żona byłego ministra spraw zagranicznych Polski Radosława Sikorskiego, pani Anne Applebaum, której to magazynowi „The Washington Post”, m.in. na łamach którego dziennikarka publikuje, profesor Stephen Walt z Uniwersytetu Harvarda wytknął na swym Twitterze „brak różnicowania publikowanych tam opinii”.

Wartym przypomnienia jest więc tutaj również fakt, że to nikt inny jak małżonek szanownej pani Applebaum wyraził podczas nagrania na taśmach, które zakończyły jego karierę parlamentarną, iż: „Polsko-amerykański sojusz jest nic nie warty. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza w Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa... Skonfliktujemy się z Rosją, Niemcami, będziemy uważali, że wszystko jest super, bo zrobiliśmy łaskę Amerykanom”. Tak więc czy mamy rozumieć, że „sypia ona z wrogiem”, który jest rosyjskim szpiegiem i „pachołkiem Kremla”?

W obliczu więc tego, co zostało powiedziane, i wysnuwanych zarzutów pod adresem rosyjskiej propagandy, poczuwam się jako publicysta aspirujący do ideałów rzetelności wyznaczonych przez wspomnianych cenzorów z Zachodu w obowiązku przytoczenia polskiemu czytelnikowi niedawnego artykułu wydanego na łamach brytyjskiego „The Guardian” o wymownym tytule „Rosyjskie wiadomości mogą być nieobiektywne – ale tak jest też w przypadku większości zachodnich mediów”, autorstwa Piersa Robinsona, który jako naukowiec Uniwersytetu w Sheffield zawodowo zajmuje się tematyką „mediów i konfliktów, propagandy i zorganizowanej komunikacji perswazyjnej”.

W tym momencie, kończąc już swe przemyślenia, pragnę stwierdzić, że być może istotnie jestem paranoikiem i skutecznie zdiagnozowanym przez mędrców piszących owy raport teoretykiem spiskowym, lecz w moim odczuciu nie trzeba daleko szukać przykładów podobnych prób podporządkowania sobie Polaków, jak choćby w latach cenzury zarówno nazistowskiej, a

już tym bardziej sowieckiej, gdzie jakikolwiek przejaw niezależności ideowej postrzegany był jako przejaw zdrady karanej zesłaniem lub śmiercią. Ludzie wówczas byli inwigilowani, a każdy bał się wykazać poglądy odmienne niż te przyjęte przez partię, gdyż nawet w środowisku znajomych mógł zostać zdiagnozowany jako sympatyk linii prozachodniej, która była nie na rękę partii komunistycznej, gdyż pokazywała alternatywę dla zastałego matrixu.

To wówczas odzierano ludzi z prawa do kultywowania relatywizmu poznawczego, który głoszony był już w czasach greckich przez filozofów takich jak Protagoras, wedle którego to zaiste „człowiek jest miarą wszechrzeczy”. W tak trudnych warunkach dla wolności słowa i myśli zjawiskiem powszechnym były tajne komplety oraz prasa podziemna pozwalające na ekspresję innych poglądów niż te oficjalnie i odgórnie narzucone przez partię komunistyczną.

Dziś, po przeczytaniu owego raportu, i mając świadomość tego, jak bardzo debata publiczna została zanieczyszczona, uważam, że każda zdroworozsądkowa osoba powinna wziąć głęboko do serca słowa „Ojca współczesnej Polski”, marszałka Józefa Piłsudskiego, który rzekł: „Podczas kryzysów strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym”, pamiętając przy tym o tym, że Zachód prezentowany w takiej formie jak ta, którą próbują nam narzucić autorzy rzeczonej rekomendacji, istotnie jawi się jako „parszywieńki”.

Autorstwo: Adriel Kasonta

Źródło: pl.SputnikNews.com